ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Lipca | No 29. | Roku 1843.

HIPOLIT I DYJANORA.

PRZEZ

ALEKSANDRA DUMAS.

Idąc w Florencyi po-przed kościółek *Santa Maria* nad rzeką Arno, przy ulicy *dei Bardi*, widać między dwoma księgami herb florentyńskiego ludu z zagadkowém godłem: *Fuccio me fece.* Jeźli się zapytasz, czyja ręka wzniosła ten kościół, i co ma ten napis oznaczać, odpowiedzą ci: że założycielem téj świątyni był Hipolit di Buondelmonte, i usłyszysz oraz następujące zdarzenie:

Około roku 1225 a więc w owym czasie, kiedy jeszcze rozjątrzenie między domami Guelfów i Ghibellinów jasnym gorzało płomieniem, żyły we Florencyi dwie rodziny, pałające ku sobie śmiertelną nienawiścią. Bylito Boundelmonti i Bardi.

Zwykle się dzieje, że tam, gdzie rozjątrzone płoną serca rodziców, wkrada się między ich dzieci tajemna miłość, która jak owa gołąbka w arce Noego, przynosi rószczkę oliwną.

Hipolit i Dyjanora spotkali się jednego razu w kościele. Młody Buondelmonti szedł z ulicy Bandinelli ślad w ślad za młodą, piękną dziewczyną. Dyjanora wstępuje do kościoła, on idzie za nią, ona zarzuca w tył zasłonę, aby się święconą pokropić wodą, ich spojrzenia spotykają się, miłość, zajmuje serca obojga. Młodzi kochankowie czytają w wzajemném spojrzeniu uczucia swoje, lecz nie mogą do siebie przemówić. Hipolit i Dyjanora zaledwie tylko swoje nazwiska poszepnąć mogli. — Działo się to 13go stycznia, w dniu, który w Florencyi zowią dniem pojednania.

Od téj chwili nie miał Hipolit innéj myśli, innego życzenia, jak aby widzieć znowu tę, którą pokochał piérwszym zapałem młodzieńca. Nieustannie chodził po-przed okna swojéj kochanki, ciągłe i zawsze i wszędzie był za jéj śladami; jeźli się kiedy w jakim domu ukazała, po całych godzinach czekał z utęsknieniem, aby ją ujrzeć choć na chwilę, aby choć jedném skinieniem, jedném słówkiem lub spojrzeniem ukochanéj, ucieszyć strapione serce, bo rodzina Dyjanory była obyczajów surowych, miała baczne oko na młodą dziewczynę.

Jednego dnia postrzegła duenna miłość kochanków i doniosła o tém ojcu Dyjanory, któréj od téj chwili surowo zakazano, nie wychodzić z domu. Ten zakaz oznajmił: że odtąd rzeczywiste cierpienia miały nastąpić po złotych snach i świetnych nadziejach! Przez długi czas nie domyśliwał się Hipolit, jakie nieszczęście go czekało, sądził, że Dyjanora nagle zasłabła, lub się na jaki czas z miasta oddaliła. Mimo to mniemanie nie ustawał wpatrywać się w jéj okna, zwidzać wszystkie miejsca, gdzie ją dawniéj widywał, ale nadaremnie. Gwiazda jego życia nie wschodziła już w błękit jego nadziei!

Pewnego wieczora poruszyły się zazdrostki u okien, biała rączka błysnęła między szczebelkami, a bilecik upadł u nóg Hipolita. On pochwycił go z radością i podniósł z ziemi, a pospieszywszy ku lampie płonącéj przed obrazem Bogarodzicy, wyczytał następujące słowa:

»Mój ojciec wié, że się oboje kochamy, zakazał mi, widywać się z tobą. Bywaj zdrów na wieki.«

Hipolit stał jakby piorunem rażony, serce pękało mu z boleści. Nie oddalił się od pałacu Bardi, stał pod oknami Dyjanory i czekał z łzawém okiem, ażali się zazdrostka nie otworzy. Brzask dnia zastał go w téj

oczekującéj postawie, i zmusił go opuścić to miejsce, w które wrósł sercem i duszą.

Pięć do sześć nocy przepędził pod oknami swojéj kochanki, a zawsze nadaremnie. Odtąd stawał się z każdym dniem posępniejszy, zaledwie odpowiadał, jeźli go o co zapytano. Nawet dla własnéj matki z-obojętniał; nakoniec cierpienia wewnętrzne rzuciły go na łoże choroby.

Przywołano piérwszych lékarzy, jakich tylko Florencyja miała. Żaden nie mógł zbadać przyczyny choroby. Na wszystkie ich pytania odpowiadał wstrząśnieniem głowy i smutnym uśmiéchem. Zdanie lékarzy było, że ciérpi niebezpieczną gorączkę i że wkrótce ulegnie, jeźli się zawczasu nie zapobieży. Matka nie odstępowała go ani na chwilę i błagała usilnie, aby jéj odkrył przyczynę swego cierpienia, gdyż z właściwą kobiétom przenikliwością umiała zbadać, że cierpienie duszy niszczy zdrowie jéj ukochanego dziécięcia. Hipolit milczał na wszystkie najtkliwsze prośby matki, ale gorączka wzmagała się coraz bardziéj; w gorączce zaczął mówić a matka dowiedziała się o wszystkiém: jéj syn kochał Dyjanorę.

Ze łzami w oczach odeszła biédna matka od łoża chorego dziécięcia. Wiedziała ona dobrze, że ojciec Dyjanory nieubłaganą ku jéj domowi żywi nienawiść, że między dziećmi Buondelmontów i Bardów niezapełniona szérzy się przepaść, wiedziała, że zacięta nienawiść stronnictw politycznych ukoić się nie da. Nie wzywając nawet pomocy swego małżonka, udała się do wili Monticelli, pół godziny od Florencyj odległéj, gdzie jéj przyjaciółka Łucyja dei Bardi, ciotka Dyjanory mieszkała.

Dobra Łucyja przyrzekła stroskanéj matce, że sama się o to postara, aby się kochankowie znowu widzieli, życzyła bowiem sobie, aby raz już położyć koniec téj nienawiści, rozdzielającéj obie rodziny. — Tą pociechą pokrzepiona powróciła matka do pałacu Buondelmontów. Zastała syna leżącego na łożu boleści z zamkniętémi oczyma i otwartémi usty. Lékarz pochylony nad chorym wstrząsał głową jak ów, który stracił już wszelką nadzieję, lecz jéj nie straciła matka. Po oddaleniu się lékarza, zajęła jego miejsce, przechyliła się po nad łoże swego dziécięcia, a ucałowawszy je w czoło zimnym potem oblane, rzekła półgłosem:

»Hipolicie, pociesz się, obaczysz znowu twoję Dyjanorę.«

Chory młodzieniec otworzył oczy i wpatrzył się w matkę wzrokiem skazanego na śmierć, którego, gdy już na rusztowanie wstępuje, ułaskawieniem darzą. Po chwili niemego zachwytu, objął matkę za szyję i rzekł drżącym, urywanym głosem:

»Ach! matko, matko moja... rozważ dobrze, co mówisz.«

»Mówię ci prawdę mój synu: Ty kochasz Dyjanorę, nieprawdaż?«

»Ach matko! Czy ją kocham!«

»Cierpisz tą myślą, żeś od niéj rołączon na wieki?«

»Na wieki... o katusze!«

»I dla tego chcesz umrzéć?«

Hipolit cisnąc matkę do swojego serca, przytłumiał westchnienie wydzierające się mu z piersi.

»Ty żyć będziesz mój drogi synu, ujrzysz twoję Dyjanorę, a jeźli cię ona kocha, może jeszcze będziecie szczęśliwi.«

Hipolit nie miał siły odpowiedzieć, łzy rzuciły mu się z oczu. Zdawało się, że jego bolejące serce pęknie na tę wiadomość radosną. Błagał matkę, aby mu o Dyjanorze wszystko opowiadała, aby mu mówiła o jego szczęściu, odpłacał się matce najczulszémi pieszczoty, pił nadzieję, którą mu podawała, jak pije orzeźwiającą rosę skwarem słońca zżółkniały kwiatek.

Po piérwszych chwilach uniesienia zebrawszy siły, oparł się jedną ręką na łokciu, wpatrywał się w oblicze matki, i, jakby nie dowierzając swojemu szczęściu, zapytał: »A kiedyż — kiedy ją obaczę?«

»Wtedy, jeźli będziesz miéć dość siły pójść do wili Monticelli.«

»Ach matko, pójdźmy zaraz.«

To mówiąc, chciał powstać, lecz osłabiony padł na łóżko. Matka uklękła przy nim i zaklinała go, aby się uspokoił i czekał cierpliwie.

Przyszedłszy nazajutrz lékarz, który był w obawie, że mu chory umrze, nie mógł pojąć, co się stało, i oświadczył, że już nie ma niebezpieczeństwa. — Hipolit powracał do sił dość raźno, ale dla jego niecierpli-

wości zbyt pomału. Drugiego dnia wstał z łóżka, a trzeciego już o tyle uzdrowiał, że mógł wyjść z domu.

Tegoż dnia był wielki festyn w wili Monticelli; cała rodzina dei Bardi była zaproszona, a jak się tego spodziewać było można, nikt z rodziny Buondelmontów, którzy pod owę porę stali na czele Guelfów.

Dyjanora dei Bardi będąc cierpiącą, nie chciała zrazu być na tym festynie, ale na usilne naleganie swojéj ciotki Łucyi, dała się nakłonić. Poszła więc ubrać się w strojne szaty, bo kobiéta, chociaż ma smutek w sercu, rada przecież widziéć się piękną. Festyn był bardzo świetny. Wszystkie wielkie rodziny Ghibellinów były obecne. Dyjanora wypatrzywszy sposobną chwilę, zapytała ciotkę, dla czego nań tak usilnie nalégała, aby chociaż pogrążona w smutku, była na téj uroczystości.

Łucyja skinęła, aby szła za nią, a poprowadziwszy ją długim kurytarzem, kazała wejść do komnaty przylęgającéj do kaplicy. Tu zaleciwszy jéj zaczekać chwil kilka, zamknęła drzwi za sobą i odeszła. Komnata miała drzwi dwoje; jedne wiodły do małego gabinetu, drugie do kaplicy. Nie długo trwało, dały się słyszeć lekkie kroki; Dyjanora zwróciła się ku téj stronie, z kąd ten szelest pochodzić się zdawał, w tém drzwi się otworzyły, a Hipolit stanął przed nią.

Dyjanora krzyknęła z przestrachu i chciała uciekać, ale spojrzawszy w blade oblicze kochanka, który z złożonémi jak do modlitwy stał rękoma, mimowolnie podała mu rękę.

W téjże saméj chwili otworzyły się drzwi od kaplicy, przypadkiem wchodzi kapłan, aby klucze złożył. Kochankowie widząc w tém skinienie boże, w osobie duchownéj posłańca nieba, padli w pokorze na kolana.

Kapłan wiedząc o zaciętéj nienawiści rozdziélającéj te dwie rodziny, wziął to za wolę boską, która przez połączenie dzieci, chce rodzicom otworzyć drogę do pojednania. Prośbom kochanków, aby ich związkowi błogosławił, nie mógł się oprzéć i połączył ich wiecznémi śluby.

Młodzi małżonkowie umówili się, że po trzech dniach za nadejściem nocy, ujrzą się znowu w obecności ciotki Dyjanory i matki Hipolita. — Dyjanora mieszkała w najodleglejszéj dzielnicy miasta; okna jéj pokoju wychodziły na ulicę. Dyjanora przyrzekła sznurem jedwabnym, zwieszonym z jéj okna, do którego Hipolit miał przymocować drabinę powrozową, ułatwić swemu mężowi przystęp do swojéj komnaty.

Nim Łucyja nadeszła, już było wszystko umówione. Za jéj nadejściem wrócił Hipolit do swojéj kryjówki. Dyjanora rzuciła się w ramiona swojéj ciotki, i miłością upojonym głosem szepnęła jéj do ucha: »Dzięki ci! dzięki!« Poczém obie wróciły na salę balową.

Gdy ów dzień zawitał, w którym się kochankowie znowu ujrzéć mieli, młody Buondelmonte z niecierpliwością oczekiwał zmroku. Już, skoro dzień zabłysnął, kupił on powrozową drabinkę i w nadziei swego szczęścia, okrywał ją ognistémi pocałunkami.— W kilka minut po ósméj, miała Dyjanora otworzyć okno.

Hippolit udał się przez most Vecchio na ulicę dei Bardi. Ciemno i pusto do koła, żadnéj żywéj duszy nie widać na ulicy, tylko odgłos kroków Hipolita rozlégał się po samotném i odludném ustroniu. Młody małżonek zbliżył się pod okna. Chociaż przed umówioną przyszedł godziną, już go Dyjanora oczekiwała. Cienki jedwabny sznurek spłynął z okna, Hipolit przywiązał doń drabinkę, którą Dyjanora do okna przymocowała. Zaledwie zaczął dźwigać się ku oknu, już się straż nocna ukazała i ujrzawszy go pospieszyła ku niemu.

Hipolit zeskoczył na dół, oderwał drabinę i biegł co tchu ku mostowi Vecchio. Ale tu zachodzi mu drogę drugi oddział straży, on się nawraca i kryje pod arkadą przy pałacu dei Bardi; lecz wzięty między dwa ronty postępujące naprzeciw siebie, zostaje odkryty i pojmany.

Florencyja pod owę porę, nie byłato Florencyja z szesnastego wieku, którą Medyceuszowie w sto lat zepsuciem i tyranija przeistoczyli, ale miasto stare, surowych obyczajów; byłto wtóry Rzym za czasów Lukrecyi i Kornelii. Hipolita zaprowadzono przed podestę. Na zapytanie: co w tak późnéj robił dobie pod oknami pałacu dei Bardi, i, na co uwiązywał sznurową drabinkę,

odpowiedział: że tamże znajduje się odłamek prawdziwego krzyża, darowany przez Karola Wielkiego poprzednikom téj rodziny. A że wieść niesie, iż wszelkie korzyści, które rodzina dei Bardi nad rodziną Buondelmonti odnosi, jedynie cudownéj sile tego świętego talizmanu zawdzięcza, przeto on chciał sobie tę ochronną tarczę przywłaszczyć.

»A więc chciałeś do pałacu się wedrzéć, aby kradzież popełnić?« zapytał podesta.

»Tak jest«, odrzekł Hipolit.

»To niepodobna!« zawołał podesta.

»Powtarzam, że tak jest«, rzekł Hipolit stanowczo.

»Wieszże, jaką tém wyznaniem ściągniesz karę na siebie?«

»Wiém«, odpowiedział Hipolit z smutnym uśmiéchem, »na kradzież we Florencyi jest kara śmierci postanowiona.«

»I nie odwołasz wyznania swego?«

»Nie odwołam.«

Podesta dał skinienie. — Straż zbrojna, która Hipolita pojmała, odprowadziła go do więzienia.

Wkrótce wytoczono proces z podziwieniem całego miasta. Znaną była rzetelność i uczciwość młodego Buondelmonte, nikt przeto nie chciał dawać wiary, aby Hipolit mógł się tak dalece zapomnieć. Ale i najzaciętsze powątpiéwanie musiało zamilknąć, gdy sam Hipolit w obecności wszystkich to wszystko powtórzył, o co się w obliczu podesty oskarzał.

Na jakiś czas piérwéj, takiż sam wypadek wydarzył się w Rzymie. Pewna znakomita pani ukradła w kościele *Ara-Coeli,* również z podobnéj pobudki cudowny obraz Dzieciątka Jezus. W owych czasach zaciekłéj zawiści i zagorzałéj zabobonności nie było trudno o podobne przykłady. Aże na wszelkie przełożenia Hipolit nie odstępował od swego wyznania, uwierzono w końcu w jego zbrodnię, a sędziowie wydali wyrok śmierci.

Chociaż cała Florencyja znała surowość ustaw, jednak wyrok sędziów przeraził wszystkich, spodziéwano się ułaskawienia. Sami sędziowie wahali się przez chwilę z wydaniem wyroku, ale gdy żadnéj innéj, prócz wyznania zbrodni nie otrzymali od Hipolita odpowiedzi, nie mogli się dłużéj ociągać, bo jakiżby na przyszłość wypadł wyrok na istotnego zbrodniarza, któryby zaprzeczał zbrodni? Mniemano, że młody Buondelmonte wyzna przed księdzem tajemnicę, która okrywała jego zbrodnię, lecz on nic nie wyznał, oprócz, że jest wielkim grzesznikiem, i że duszę swoję poléca modłom księdza.

Nadaremnie błagała matka, aby się z nią widział. Zapewniała ciągle, że on niewinny, i że odkryje tajemnicę skoro z nim pomówi. Ale Hipolit nie ufając swojemu sercu, kazał pocieszyć matkę: że w niebie obaczą się znowu. Hipolit żądał jednéj tylko łaski, aby hańbiącą karę szubienicy, postanowionéj na zbrodnię kradzieży, zamieniono na ścięcie. *Signoria* przychyliła się do jego żądania.

Dniem przed straceniem oznajmił mu pisarz sądowy dzień, w który miał zginąć; Hipolit podziękowawszy mu za to oznajmienie, zapytał, ktoby to był ten duży mężczyzna na pół czerwono a na pół czarno ubrany, który wszedł za nim? Jestto kat, odpowiedział pisarz. Hipolit zdjął z szyi złoty łańcuch i dał go katowi, poczém odmówiwszy pacierze, usnął spokojnie.

Nazajutrz skoro się przebudził, prosił dozorcę więźniów, aby się udał do podesty i prosił jego imieniem o łaskę, iżby go na stracenie po-przed pałac dei Bardi prowadzono. Za powód swojéj prośby przytoczył, że radby uzyskał przebaczenie swoich nieprzyjaciół; właściwą zaś pobudką było to, że pragnął ujrzéć po raz ostatni swoję Dyjanorę. Na taką prośbę śród takich okoliczności, nie mógł podesta nie przyzwolić.

O siódméj godzinie z-rana wyruszył orszak; ulice, któremi przechodził, i miejsce tracenia było przepełnione tłumem ludzi. Cały pochód téj smutnéj ceremonii, udał się przez most Vecchio ku ulicy dei Bardi. Przodem szedł oddział żołniérzy, aby czynić wolne przejście między natłokiem, za nim kat z gołym mieczem, a za tym Hipolit czarno ubrany, postępował pewnym krokiem, śmiało, ale bez dumy, boso, z odkrytą głową. Czasami zwracał się i mówił do księdza, który mu towarzyszył. Za Hipolitem, bracia pokutnicy nieśli trumnę, w któréj ciało jego

po ścięciu miało być złożone.—Cała rodzina dei Bardi wyszła przed pałac, aby odebrać od skazanego na śmierć słowo przebaczenia, i dać mu nawzajem na drogę do wieczności, braterskie pojednanie. Dyjanora w czarnym, wdowim ubiorze, stała między ojcem a matką. Za zbliżeniem się młodego Buondelmonte, cała rodzina dei Bardi uklękła, sama tylko Dyjanora blada, nie ruchoma stała jak posąg.

Buondelmonte zatrzymał się przed pałacem i odmawiał łagodnym, spokojnym głosem: *Ojcze nasz.* Dei Bardi zawtórzywszy uroczyście *Amen,* powstali. Tu ukląkł Buondelmonte—po chwili przystąpiła Dyjanora i padła przy Hipolicie na kolana.

»Cóż czynisz córko?« zapytali z zadziwieniem ojciec i matka.

»Błagam was o przebaczenie«, odrzekła we łzach dziewczyna.

»Cóż ci mamy przebaczyć?«

»Żem wybrała sobie małżonka z rodziny naszych nieprzyjaciół. Buondelmonte jest— moim mężem!«

Powszechny okrzyk zdziwienia.

»Tak jest«, mówiła dalej Dyjanora donośnym głosem: »Słuchajcie mię wszyscy obecni! Hipolit żadnéj nie popełnił zbrodni, jeźli on winny, i na mnie spada połowa winy. Jam oczekiwała mojego małżonka, matka Hipolita była przy mnie, jam mu dała pozwolenie wejść oknem do pokoju. Jeźli jesteśmy winni, niech razem umieramy, jeźli żadnéj nie ma przewiny, przebaczcie nam obojgu!«

Otóż i klucz do całéj tajemnicy. Hipolit wolał raczéj ponieść śmierć hańbiącą, niż dobre imię swojéj kochanki podać w niesławę. Dziesięć tysięcy głosów jakby jedną piersią zawołało: »Łaski, przebaczenia!« Wszyscy obecni tłoczyli się, aby ujrzeć tę młodą parę; kata zniewolono do ucieczki, trumnę połamano, Hipolita i Dyjanorę wzięto na ręce i zaniesiono w tryjumfie do podesty, gdzie zastano biedną matkę, żebrzącą po raz ostatni łaski dla syna. Wyrok został cofnięty. *Signoria* posłała dwóch swoich członków do naczelników obu rodzin z prośbą imieniem całéj Rzeczypospolitéj, aby się dei Bardi i Buondelmonti pojednali, dając młodéj parze swoję przyzwolenie. Trudno się było oprzéć takiemu przełożeniu, zwłaszcza, że Rzeczpospolita prosiła tam, gdzie mogła rozkazać. Tak tedy przygasła przynajmniéj na czas niejaki nienawiść, która oba te stronnictwa rozdzielała, a na pamiątkę tego zdarzenia uszczęśliwiony Hipolit Buondelmonte, kazał wznieść nad rzéką Arno mały kościółek świętéj Maryi.

FESTYN
ŻYDOWSKIEGO LUDU
W PRADZE PRZED STEM LATY.

Jestli to dobrą lub złą wróżbą, że za naszych czasów obchodzimy pamiątkę ubiegłéj przeszłości? Przed 62 laty ś. p. Cesarz Józef położył piérwszy węgielny kamień do głównéj szkoły żydowskiéj w Pradze. Podówczas zatwardziali staroświeccy byli przeciw temu dobroczynnemu zamiarowi, podnosili w duchu rokosz przeciw monarsze, czynili pokutę postem i chłostą i uciekali się pod opiekę Boga ojców swoich. Ale w maju 1843 r. witano z wdzięcznością ten 62-letni zakład; inne uczucia ożywiały pokolenie izraelskie. Chciano zatrzéć krnąbrny upór ojców swoich, i urządzono tym celem festyn wdzięczności dla zgasłego dobroczyńcy, festyn w pokorze i w duchu. Sala żydowskiéj bożnicy, rozlégała się pieniami dziękczynnemi, wymowne usta głosiły sławę szlachetnego monarchy, szczéremi słowy modliły się serca.—Jakżeto się świat zmienił!

Przed stem laty w Pradze, dali Izraelici także festyn ludu, ale śmiało rzéc można, że między Jerozolimą a stolicą królestwa czeskiego nie zachodzi tak wielka odległość, jak między owym festynem a tegorocznym.

Byłoto w roku 1741 w miesiącu marcu, gdy do Pragi nadeszła wiadomość, że Maryja Teresa powiła następcę korony. Wieść ta wesoła wpadła także do radnego domu żydowskiéj gminy, gdzie siwo-brodzi ojcowie zadumani radzili.

Tym następcą tronu był Cesarz Józef IIgi. Dzieci Syonu nie były wprawdzie téj myśli, że wtóry Koresch im się narodził, jednakże jeden z izraelskich patryjarchów, siedmdziesiąt-letni starzec, przemówił wtedy témi słowy: »Moi bracia! Mamy teraz miesiąc *Niszan,* ten miesiąc jest zwiastunem szczęścia, w owąto porę przyszedł na świat Mojżesz, w owąto porę opuścili nasi ojcowie niewolę egipską. Może ta ręka, która teraz w pieluchach spoczywa, ma przeznaczenie ująć za puzan i zagrzmiéć radością,

na któréj dźwięki opadną nasze kajdany, jak niegdyś mury Jerycho. Wystąpmy więc z wszelką okazałością na uczczenie dnia tego, aby potężni władcy świata mieli świadectwo, że lud izraelski zdjął arfy z płaczących wierzb Babylonu, że nie chcemy być cudzoziemcami na nowéj ziemi; oddajmy cześć téj uroczystości na znak, że nadzieja i wiara jest tym wiecznym płomieniem, które ożywia strupieszałe ciało izraelskie. Baczcie dobrze, aby nie drażnić zemsty i nienawiści wrogów naszych, tylko głośno śmiejący się nieprzyjaciel, jest nieszkodliwym, dla tego niech niedołężny na siłach albo skryje się w jaskiniach, albo przybierze dzwonki błazna.« Cały senat przyzwolił na zdanie wymownego staruszka, a idąc za jego radą, nadano całéj uroczystości podziwną postać.

Wschodzące słońce zastało na tym dniu świątecznym ulice dzielnicy miasta przez Żydów zamieszkałéj, nadzwyczaj czyste i przyozdobione. Wszystkie kramy i budy pozamykano, z okien zwieszono kobierce, trzy bramy wiodące do starego miasta, uderzają świetnym przepychem, muzykanci tamże ustawieni, oczekują przybycia obcych, aby ich powitać krzykliwą muzyką.

O trzeciéj godzinie z południa otwierają się podwoje domu gminy, a z podwórza jego wyrusza w pochodzie uroczystym ku radnemu domowi najdziwaczniéj przystrojony i ugrupowany orszak. Co tylko wschodnia wyobraźność z rupieci średnio-wiecznych ubiorów dziwnego i potwornego wyzbierać mogła, wszystko to paradowało jakby w pstréj arlekina szacie.

Na czele postępował listonosz żydowski, za nim dwaj trębacze, a za témi sześciu laufrów w wielkiéj gali. Daléj toczył dobrze uchodzonym koniem, z którego pąsowy czaprak w śrébrne kwiaty ku ziemi spływał, jeździec zapewne piérwszy od czasów Makabenszów. Grandezza króla Salomona otaczała go do koła. Za nim jechał wice-król tego jedno-dniowego królestwa, a przy boku obudwu szły paradne hajduki. Za nimi postępowali przysiężni, pisarze gminy i szkolnicy, wszyscy w świetnych ubiorach. Pomiędzy ostatniémi starzec 88-letni niósł cynowy, a najstarszy z szkolników młot pozłacany.

Za tą awangardą szła banda muzykantów, wygrywując pieśni myśliwskie. Ale za niémi nie było widać Nemiroda, tylko dwie kolumny zwolenników *Talmuda,* niosących pod pachami zamknięte śrébrnémi klamry księgi; tuż za nimi ciągnął się orszak piérwszych rabinów. Surowe, wybitne rysy i długie białe brody tego pocztu uczonych, napełniały jak niegdyś Magowie widzów chrześcijańskich, czcią i bojaźnią. Halebardnicy konni, towarzyszyli im w pochodzie.

Daléj oznajmili laufry i posuwające się z partesem maski tureckie, zbliżającego się w też ślady lékarza żydowskiego, przed którym niósł chłopczyna rozwinięty pergamin: *Testimonium facultatis medicae.* Obok lékarza szedł aptékarz z dużą aptéczną skarboną, a za nimi postępowało grono żydowskich cérulików ze sznyprami. W też tropy dążył śpiéwak z bożnicy, który na różnych miejscach odśpiéwywał hymny pochwalne dla domu austryjackiego. Towarzyszyły mu ubogie siéroty, które, skoro jego śpiéw ustał, wszczynały psalm 72gi. Ale to wzniosłe, religijne wrażenie zaciéra niebawem nowa scena: bo oto 80-letni figlarz, przebrany za starą babę, gra na fagocie. Wszyscy żydowscy grajkowie mieli na kapeluszach ogromnémi głoskami wypisane: *Vivat,* a w ręku dużą konew' swego cechu. Za nimi powiéwali swoją choragwią rzeźnicy, niosąc klucz półtrzecia łokcia długi. Oba te znaki nadał im był Cesarz Ferdynand III., za waleczną obronę przy oblężeniu miasta Pragi przez Szwedów.

Daléj idą na rękach do góry nogami dwaj kuglarze, wyrabiając różne dziwaczne łamańce. Za nimi ubrani w kosztowne futra postępują kuśniérze z dwoma z futer najdroższych ułożonémi tablicami, na jednéj widać obraz Maryi Teresy i Józefa w kolébce, druga przedstawia tarczę Dawida. Niosą także dzikie źwiérzęta, do których dziwnie ubrani strzelcy od czasu do czasu strzélają.

Nareszcie zbliża się orszak najdziwaczniejszéj mieszaniny, mającéj na czele hałaśliwą muzykę: krawcy, szmuklérze, szewcy z ogromnémi butami cynowémi. Błazen weselny, nawiesiwszy na sobie drewnianych sprzętów kuchennych, mający na głowie garnek miasto kapelusza, ciągnie za sobą sforę błaznów, którzy najpotworniéj poprzybiérani, najdziwaczniejsze stroją figle. Pomiędzy niémi jeden przebrany za mamkę, prowadzi na pasku 40-letnie dziécię i napycha mu gębę lemiészką.

W końcu ukazuje się orszak dziko-ludów i trzech rosomaków śmiésznie wypchanych. Bachus jedzie na wozie, otacza go tuzin satyrów, którzy nieustannie piją, daléj rzempoli chłopskie wesele. Mężczyźni w płachtach śmiertelnych, i poczet jeźdców w mundurze węgierskich kopijników, kończą ten uroczysty pochód.

Wieczorem całą dzielnicę żydowskiego miasta oświetlono, bogatsi pozastawiali sute bankiety, na które i Chrześcijan wyższego stopnia zaproszono.—Wszystkie szynkownie żydowskie natłoczone były gośćmi do późnéj nocy, a pokolenie izraelskie miało za wiele lat smutku—jeden dzień wesela.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 29. i obejmuje: 1) O skutkach z następstwa roślin, z doświadczenia czerpanych. 2) Rzut oka na gospodarstwo tutejszo-krajowe w ogóle, w szczególności zaś o obecném położeniu dzierżawców i ich stosunkach do kraju. (Ciąg dalszy). 3) O zimowém utrzymaniu krów. 4) Słów kilka o robieniu cukru krochmalowego. 5) Wiadomości czasowe: *a*) Literatura. *b*) Przepis do zalewania butelek z winem. *c*) Młockarnia parowa.

Z Warszawy. *Przeglądu naukowego* Nr. 18. zawiéra następujące artykuły: 1) Augustyn Bielowski, przez Kaź. Wł. Wojcickiego. 2) Twórczość jako byt. 3) Zarysy dawnych czasów i Klecha część III., przez Edw. Dembowskiego. 4) Kronika piśmiennicza. 5) Rozmaitości. 6) Nowiny. — Tamże wyszedł z druku tom piérwszy dzieła, pod tytułem: *Godne pamięci zarysy z życia jenerał-feldmarszałka księcia warszawskiego*, na pięknym welinowym papiérze. — Tamże księgarnia Zawadzkiego i Węckiego otrzymała nowe dzieło: *Rimembranza na rok* 1843, pismo zbiorowe przez Józefa Krzeczkowskiego, zawiéra znaczniejsze artykuły: 1) Wiadomość o życiu prof. Józ. Franka, jego dziełach i pismach, z portretem, przez profesora Adamowicza. 2) Wiadomość o Dantem, poecie włoskim, przez Chodźkę. 3) Tegnera Aksel, przekład z szwedzkiego. 4) Opisanie Zofijówki, przez Grozę, i t. d. — Tamże wyszło z druku dzieło: *O papierach publicznych w ogólności*, ze szczegółowym opisem papierów krajowych, ważniejszych zagranicznych i instytucyi, które na ich handel wpływają, przez Floryjana Aleks. Zubelewicza. Z zagranicznych, dzieło to obejmuje opis papiérow i instytucyj kredytowych Anglii, Ameryki północnéj czyli Stanów Zjednoczonych, Austryi, Belgii, Francyi, Hamburga, Holandyi, Pruss i t. d., wraz z ogólnym rysem historycznym długu tych krajów. — Tamże w roku zeszłym wydaną została za najwyższém rozkazem: *Statystyka Królestwa polskiego*, ułożona przez M. Zawielejskiego, urzędnika do osobnych zleceń przy ministrze sekretarzu Stanu Królestwa polskiego. — W księgarni Orgelbranda dostać można powieści: *Pamiętniki Warjata*, napisanéj przez M. Gogola, a przetłumaczonéj przez M. Szymanowskiego.

(K. W.)

Ważne dzieło dla miłośników języka. Wielkie wrażenie sprawiło wyszłe niedawne dzieło pod tytułem: *Tablettes grammaticales*, przez Henri Paris. Wiadomo, że pod tém męzkiém nazwiskiem ukrywa się światła Niemka, mieszkająca obecnie w Paryżu. Dzieło to jest ważném zjawiskiem w świecie literackim. Autorka przedsięwzięła sobie ułatwić i uprościć gruntowną, na regułach gramatycznych opartą naukę języka francuzkiego, i być tym sposobem równie Francuzowi jak cudzoziemcom pomocną w nauczeniu się tego języka. Podobnie jak nauczyciel jeografii ma ku pomocy mapy, nauczyciel jeometryi, figury, które na tablicy kreśli, a nauczyciel historyi chronologiczne i synchronistyczne tabele, również i w tém dziele zapoznaje się uczeń za pomocą 16 tablic z regułami francuzkiéj gramatyki, które stoją mu obrazowo przed oczyma. W innych umiejętnościach pomyślano już dawniéj o takim pomocniczym środku, a właśnie w téj nauce, dla młodego ucznia najbardziéj męczącéj i nudnéj, nic podobnego dotąd nie uczyniono. Podziwiać w saméj rzeczy należy przenikliwość autorki, z jaką wchodzi w najcieńsze włókna języka, nad tą dokładnością, z jaką język w piérwsze pierwiastki rozkłada, i nad tą jedljalnością, która uczącą się młodzież przez wszystkie trudności językowe, łatwo i pojętnie przeprowadza. Dzieło jéj możnaby nazwać nitką Aryjadny, która ucznia wyprowadza z błędnika niezliczonych reguł i wyjątków, które utrudzając odstręczają od nauki któregokolwiek języka, a szczególniéj francuzkiego. Jest ono poświęcone księżnéj Orleańskiéj, która autorce kosztowną wazę w podarku nawzajem dała. W jednéj nocie téj książki czytamy, że Henri Paris ma się zająć podobnémże dziełem dla Niemców.

Skutki magnetyzmu przy amputacyi. Pewien francuzki dziennik lekarski, umieścił o użyciu magnetyzmu przy amputacyi, następujący wypadek, który się w Londynie zdarzył: Męższyzna 42 lat mający, spokojnego temperamentu, miał ranę na kolanie, którą trudno było zagoić. Najlżejsze dotknięcie sprawiało mu gwałtowne bole. Doktor Ward postanowił odjąć mu nogę, i przystał na to, aby adwokat Topham, który chorego dla sprawienia niejakiéj ulgi często magnetyzował, w sen go magnetyczny wprawił. Skończono operacyję, zdawało się, że chory nic nie czuł. Gdy jednak po raz drugi przyłożono piłę, westchnął głęboko. Obudziwszy się, oświadczył, że nie czuł żadnego bolu, oprócz, że jakieś zgrzytnięcie, co zapewne od piły pochodziło, było mu niemiłe. — Pismo to lekarskie dodaje, że lekarz francuzki Cloquet, przekonał się także o skuteczności magnetyzmu przy amputacyi, odejmując piersi kobiécie, która była chora na raka, a która przy operacyi żadnego nie czuła bolu.

Wynalazek. Gubernator banku angielskiego Cotton, wynalazł maszynę do ważenia i do brakowania nieważnéj złotej monety. Maszyna ta tak jest tkliwa, że okazuje nawet gdyby tylko 2250 cząstka do wagi jednego szufryna brakowało. Moneta kładzie się na małe płaskie ważki. Jeżeli ma dostateczną wagę, wtedy wyskakuje języczek i spycha monetę na jedną stronę do rynewki, jeżeli zaś co brakuje, wtedy spada ważka w dół, a inny języczek spycha monetę do drugiej rynewki. Przytém odbywa się ważenie z taką szybkością, że w przeciągu 6 godzin 10,000 sztuk złota odważyć można, gdy przeciwnie najbieglejsza ręka zwyczajnémi ważkami zaledwie z cztérą tysiącami sztuk złota uporać się zdoła.

Stara kościelna muzyka zakwita na nowo we Francyi. Niedawno zawiązało się w Paryżu pod przewodnią księcia Moskwy towarzystwo, które ma na celu obeznawać publiczność z religijnémi utworami starych włoskich kompozytorów, i przezto utrzymywać zamiłowanie starej kościelnéj muzyki. Odkąd we Francyi nie ma królewskiej kaplicy, dzieła takowe popadły prawie w zapomnienie. Zamiar więc księcia Moskwy z żywszym będzie przyjęty udziałem, ile że znane muzykalne wykształcenie jego, jest rękojmią dobrego wyboru w utworach muzycznych, a piérwsi śpiewacy jako członkowie tego towarzystwa, ręczą za dokładne onych wykonanie. Książę Moskwy łączący z gruntownémi, technicznémi wiadomościami w téj mierze wytrwałość antykwaryjusza, zebrał najznakomitsze skarby muzyczne. Mówią o dziełach Orlando di Lasso Allegri, Scarlatti, i samego Vittoria, starego hiszpańskiego mistrza. Już rozpoczęto popisy muzyczne starym kościelnym śpiewem: *Alla Trinita* z wieku XVI. Kompozycyja ta ułożona przez nieznanego autora, wielkie sprawiła wrażenie.

Thithonotypia, wynalazek doktora Draper ma na celu zwielokrotniać obrazy dagerotypowane. Używa on do tego rybiego karuku, który się w płynnym stanie leje na obraz dagerotypowy, a potem zasycha.

W tę stwardniałą masę rybiego karuku, wraża się sam przez się obraz z wszystkiémi odcieniami jak najdokładniéj i widzieć go można lub jak w świetle przeźroczystém, lub jak w źwierciedle, zwłaszcza, jeźli się na dno tego odwzoru położy aksamit czarny. Największa trudność w tém zachodzi, że ta cienka powłoka karukowa często nie odstaje w całości, ale się rysuje i pęka, lub że tak mocno przysycha, iż się odlepić nie daje. Postępowanie przy thitonotypii jest następujące: Obraz dagerotypowy, z którego ma się zdjąć odwzór, przykrywa się listeczkiem złota, który ma być ani za cienki, ani za gruby, potem gotuje się roztwór rybiego karuku, który ma być tak gęsty, że gdy jedna kropla padnie na zimną płytę metalową, w téjże samej chwili ścina się i tężeje. Najwięcéj zależy na dobrém przysposobieniu tego roztworu. — Obraz, z którego się odwzór zdejmuje, ma leżeć poziomo i prawa strona tegoż obrazu ma być wystawiona ku górze na prąd ciepłego powietrza, które idzie z ogniowego aparatu. Na to leje się płyn rybiego karuku w grubości na szóstą część cala. Skoro się ta robota uda, powłoka karukowa odstaje sama po wyschnięciu i pokazuje wierną kopiję dagerotypowanego obrazu.

Pierwsze szczepienie ospy krowiéj w Polszcze, wprowadziła siostrzenica króla Stanisława Augusta, Urszula Maryja Ordynatowa Zamojska, małżonka Mniszcha, marszałka wielkiego koronnego. Uczony Jenner w dziele swojém oddaje zasłużoną z tego względu pochwałę naszéj rodaczce.

Starożytności z świątyni Dyjany w Magnezyi, które niedawno do Paryża przywieziono, złożono tymczasowie w pałacu *Louvre*. Figury, które przyczołek kościoła zdobiły, są wprawdzie w kawałki połamane, lecz żadnéj części nie brakuje. Wyobrażają one w płaskorzeźbie walkę kobiét z mężczyznami, pierwsze na koniu, mężczyźni zaś pieszo. Wszystkie te figury są arcydziełem sztuki rzeźbiarskiéj. Na szczególniejszą zasługuje uwagę starożytny sarkofag przecudnéj piękności, waży on 14,000 funtów i ma mieć więcéj niż lat 2,000. Na wierzchu sarkofagu siedzą dwie figury, jedna o drugą oparta, obie obrzucone długą szatą. Są one poczęści uszkodzone, ale gdy wszystkie odłamane części znaleziono, nie będzie tak trudno tę grupę na nowo złożyć. Turcy kopiąc grunt dla nowéj moszei, uszkodzili to rzadkie dzieło. Sarkofag ten z najpiękniejszego białego marmuru, ma około 7 1/2 stopy długości. Znaleziono w nim ostatki zwłók, pomiędzy niemi trzy czaszek, które jeszcze w dobrym zachowane stanie.

Połączenie dwóch mórz. Według listów z Aleksandryi jest wielkie prawdo-podobieństwo, że morze czerwone z śródziemnem połączone będzie kanałem przecinającym cieśninę Suez. Wice-król naradzał się już w tej mierze z europejskiémi konzulami. W Egipcie jest powszechne zdanie, że niebawem przystąpią do wykonania tego planu.

Persyja. Wieś perska jestto wiele w jednę prawie kupę zebranych nizkich lepianek z gliny, poprzedzielanych od siebie wązkiémi w różne zakręty łamiącémi się ścieżkami. Zwykle obiérają na osiedlenie miejsce nad wodą, po-nad które zasadzają drzewa, dla tego téż z daleka wieś perska dość ponętnie wygląda, ale z blizka widać tylko ubóstwo i niechlujstwo. Również i mieszkańcy tych lepianek, są nędzni i zaniedbani. Charakter krajowców na wsi wybija się mniéj wyraźniéj niż w mieście. Nałóg kłamstwa należy do ogólnych zalet tego ludu. Jednakże mieszkańcy na wsi nie są tak przebiegli i chytrzy, jak mieszczanie. Persowie są bardzo ograniczeni, trudno znaleźć głupszego narodu, szczególniéj kobiéty są na najniższym stopniu człowieczeństwa, są przytém brzydkie, niechlujne. — Dzieci w łachmanach, czasami nawet bez odzieży, tarzają się jak bydlęta w błocie. O wychowaniu i nauce dzieci nié ma tam i mowy. Jest wprawdzie w każdéj wsi nauczyciel zwany: *Mollah*, ten udziela przez zimę nauki koranu, z którego dzieci śpiéwają pieśni, chociaż języka nie rozumieją. Zwyczajném zatrudnieniem mężczyzn jest rolnictwo, ich narzędzia rolnicze: pług, i inne, są powiększéj części z drzewa. Kobiety zajmują się tkactwem. Robota ich jest bardzo prosta i odbywa się zwykle na podwórzu. Wyrabiają dywany na 28 *yardów* długie i na trzecią część *yardu* szérokie.

Trzechletnie dziecię pijakiem. Podczas gdy gazety zagraniczne széroko pisały o szesnastoletniéj Maryi Furtner, która tylko wodą i powietrzem żyje, nikt jeszcze oprócz *Kuryjera warszawskiego* nie wspomniał o małym trzech-letnim żydku, synu arędarza w karczmie na drodze z Gniewoszowa do Zwolenia w Królestwie polskiém. Dziecię to nie przyjmuje żadnych pokarmów i żyje jedynie chlebem maczanym w wódce, któréj tym sposobem do trzech kwatérek dziennie spożywa bez doznania najmniejszych skutków pijaństwa. W czasie ostatnich świąt żydowskich, gdy przepis staro-zakonnym użycia wódki zabrania, dziecię to musiało żyć samym tylko chlebem i na oczy mocno zapadło! Z téj niemocy wyprowadziła go znowu wódka, któréj teraz ciągle jak codziennego pokarmu używa.

O sławnym Bosco, który teraz bawi publiczność warszawską, czytamy w *Kuryjerze warszawskim*: Bosco znajdując się za Żelazną bramą, przystąpił do przekupki, celem kupienia jajek. Przekupka, jak to zwykle bywa, zachwalała świeżość, taniość towaru, i t. d. »Muszę téż przekonać się, czy jaja istotnie świéże«, rzekł sztukmistrz i dla próby rozbił jedno, przekupka stała jak wryta, z jaja bowiem wypadł dukat. »Aha!« zawołał Bosco, »patrz ten dukat ma datę rok 1841, zatém chciałaś stare jaja przedawać za świéże, obaczmy dalej.« Rozbija drugie i trzecie jajko, z każdego wypada po jednym dukacie. Przekupka zapomina o targu i sama zaczyna tłuc jaja, aby wydobyć żółto-brzuszka, lecz naturalnie pod jéj ręką rozlał się tylko żółtek, ale ani odrobina złota.



Osoby przysyłające do umieszczenia w Rozmaitościach swoje prace, czy to prozą czy wiérszem, raczą odpis manuskryptu zachować u siebie, albowiem odséłaniem artykułów, które z różnych przyczyn w Rozmaitościach nie będą umieszczone, Redakcyja zająć się nie może.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.